



W tym czasie dla mnie pojęcie „**granica Polski**” nie istniało; może tylko z lekcji historii. To pojęcie miało charakter ulotny. Rzeczywisty, drugi kontakt z granicą miałem w wakacje w 1954 roku po szkole podstawowej – po podróży pociągiem do Warszawy i Gdańska, prawie 1000 kilometrów. Z kuzynem **Staszkiem Czechem** po zakończeniu roku szkolnego otrzymujemy zgodę od Rodziców na samodzielny wyjazd nad morze. Na podróż w wakacje zarabiamy „skórując” wiklinę na koszyki u **Trelki** nad stawem (wcześniej **Szyp**) i przy budowie szkoły. Nasi Ojcowie byli kolejarzami, którym władza ludowa dawała bezpłatne bilety kolejowe dla rodziny. Kalkulacje pozwalały za zarobione pieniądze wyjechać nad morze do Gdańska z przesiadką w Przeworsku i Warszawie. Tu mamy kilka godzin czasu wolnego – jak nie zobaczyć ZOO a w nim małpy, tygrysy, słonie i inne zwierzęta – **pierwszy raz w życiu?** Przy bramie do ZOO „porywa” nas fotograf. Robi nam zdjęcia na wielbłądzie, przy lwach... musimy płacić. Pozostają nam na dalszą podróż nad morze pieniądze: na 4 bułki i konserwę rybną „byczki w oleju”. Ale co tam. Jesteśmy z Tuzem്പ! Wsiadamy w wieczorny pociąg nad morze. O godzinie około 4.30 jesteśmy na dworcu w Gdańsku; robi się dzień. Pytamy idących do pracy stoczniowców o drogę nad morze. Po marszu i śniadaniowej bułce, **pierwszy raz w życiu** jesteśmy na plaży Bałtyku, patrzymy pierwszy raz w życiu na morze; słona woda. Wschód słońca, mewy; na horyzoncie biały żagiel. Pobudzona wyobraźnia 14-letnich chłopców z Tuzem്പ; przypominam, że nie było w tym czasie telewizorów.